

ULICA KROKODYLI

Mój ojciec przechowywał w dolnej szufladzie swego głębokiego biurka starą i piękną mapę naszego miasta.

Był to cały wolumen *in folio*¹ pergaminowych kart, które, pierwotnie spójne skrawkami płótna, tworzyły ogromną mapę ścienną, w kształcie panoramy z ptasiej perspektywy.

Zawieszona na ścianie, zajmowała niemal przestrzeń całego pokoju i otwierała daleki widok na całą dolinę Tyśmienicy, wijącej się falisto bładozłotą wstęgą, na całe pojezierze szeroko rozlanych moczarów i stawów, na południowe przedgórze, ciągnące się ku południowi, naprzód z rzadka, potem coraz tłumniejszymi pasmami, szachownicą okrągławych wzgórz, coraz mniejszych i coraz bledszych, w miarę jak odchodziły ku zlotawej i dymnej mgie horyzontu. Z tej zwiędłej dali peryferii wynurzało się miasto i rośło ku przodowi, naprzód jeszcze w nieznacznym kompleksach, w zwartych blokach i masach domów, poprzercinanych głębokimi parowami ulic, by bliżej jeszcze wyodrębnić się w pojedyncze kamienice, sztychowane z ostrą wyrazistością widoków oglądanych przez lunetę. Na tych bliższych planach wydobył sztycharz² cały zawikłany i wieloraki zgiełk ulic i zaułków, ostrą wyrazistość gzymśów, architravów³, archiwolt⁴ i pilastrów⁵, świecących w późnym i ciennym złocie pochmurnego popołudnia, które pograża wszystkie załomy i framugi w głębokiej sepi⁶ cienia. Bryły i pryzmy tego cienia wcinają się, jak plasty ciemnego miodu, w wąwozy ulic, zatapiały w swej ciepłej, soczystej masie tu całą połowę ulicy, tam wyłom między domami, dramatyzowały i orkiestrowały ponurą romantyką cieni tę wieloraką polifonię⁷ architektoniczną.

Na tym planie, wykonanym w stylu barokowych perspektyw, okolica ulicy Krokodylej⁸ świeciła pustą bielą, jaką na kartach geograficznych zwykło

¹ *In folio* (łac.) – o formacie raz złożonego arkusza.

² Sztycharz – autor sztychów.

³ Architrav (z łac.) – w antyku najniższa część belkowania, spoczywająca na głowicach kolumn; główna belka.

⁴ Archiwolta (z wł.) – łuk dekoracyjny, obramiający arkadę lub inny łukowo sklepiony otwór.

⁵ Pilaster (z fr.) – dekoracyjny, płaski filar ścienny.

⁶ Sepia (gr.) – ciemnobrunatny kolor.

⁷ Polifonia (gr.) – w kompozycji muzycznej łączenie w jedną całość kilku samodzielnych głosów wokalnych lub instrumentalnych.

⁸ Ulica Krokodyla lub Krokodyli – literacki odpowiednik drohobyckiej ul. Stryjskiej.

się oznaczać okolice podbiegunowe, krainy niezbadane i niepewnej gęstości. Tylko linie kilku ulic wrysowane tam były czarnymi kreskami i opatrzone nazwami w prostym, nieozdobnym piśmnie, w odróżnieniu od szlachetnych innych napisów. Widocznie kartograf wzbraniał się uznać prawdziwość tej dziełnicy do zespołu miasta i zastrzeżenie swe wyraził w tym samym i postępującym wykonaniu.

Aby zrozumieć tę rezerwę, musimy już teraz zwrócić uwagę na dwu- i wątpliwy charakter tej dzielnicy, tak bardzo odbiegający od zasad tonu całego miasta.

Był to dysterkt przemysłowo-handlowy z podkreślonym jasnym charakterem trzeźwej użyteczności. Duch czasu, mechanizm ekonomiki przedzielił i naszego miasta i zapuścił chciwe korzenie na skrawku jego gdzie rozwinął się w pasywną dzielnicę.

Kiedy w starym mieście panował wciąż jeszcze nocny, pokąty i pełen solennego ceremonialności, w tej nowej dzielnicy rozwinęły się nowoczesne, trzeźwe formy komercjalizmu. Pseudoamerykanizm, zbudowany na starym, zmurszałym gruncie miasta, wystrzelił tu bujną, leśną i bezbarwną wegetacją tandetnej, lichwej pretensjonalności. Widziało się tam, marnie budowane kamienice o karykaturalnych fasadach, obłepione sztucznymi sztukateriami z popękane gipsu. Stare krzywe domki polskie otrzymały szybko sklecone portale, które dopiero bliższe przybliżenie maskowało jako nędzne imitacje wielkomięskich urzędów. Wadliwe i brudne szyby, łamiące w falistych refleksach ciemne odbicie ulicy, obłożone drzewo portali, szara atmosfera jałowych tych wnętrz, odcień cichych pajęczyn i klakami kurzu na wysokich półkach i wzdłuż okien i kruszących się ścian, wyciskały tu, na sklepach, piętno dzikiego Kl. Tak ciągnęły się jeden za drugim magazyny krawców, konfekcje, sklepy celany, drogerie, zakłady fryzjerskie. Szare ich wielkie szyby wystawowe ukośnie lub w półkolu biegnące napisy ze złożonych plastycznych liter FISERIE¹, MANUCURE, KING OF ENGLAND.

Rdzenni mieszkańcy miasta trzymali się z dala od tej okolicy, zadowolonej przez szumowiny, przez gmin, przez kreatury bez charakteru, stości, przez istną lichotę moralną, tę tandetną odmianę człowieka, która się w takich efemerycznych² środowiskach. Ale w dniach upadku, w dniach niskiej pokusy zdarzało się, że ten lub ów z mieszkańców miasta kiwał się na wpół przypadkiem w tę wątpliwą dzielnicę. Najlepsi z czasem wolni od pokusy dobrowolnej degradacji, zniwelowania granic

¹ Confiserie (z łac.) – cukiernie.

² Efemeryczny – tu: nietrwały.

rarchii, pławienia się w tym płytkim błocie wspólnoty, łatwej intymności, brudnego zmieszania. Dzielnica ta była Eldoradem takich dezertów moralnych, takich zbiegów spod sztanbaru godności własnej. Wszystkemu zdawało się tam podejrzane i dwuznaczne, wszystko zapraszało sekretnym mrugnięciem, cynicznie artykułowanym gestem, wyraźnie przynurzoną perskim okiem – do nieczystych nadziei, wszystko wyzwało z pięć niską naturę.

Mało kto, nieuprzedzony, spostrzegł dziwną osobliwość tej dzielnicy: brak barw, jak gdyby w tym tandetnym, w pośpiechu wyrosłym mieście nie można było sobie pozwolić na luksus kolorów. Wszystkemu tam było szare, jak na jednobarwnych fotografiach, jak w ilustrowanych prospektach. Podobienstwo to wychodziło poza zwykłą metaforę, gdyż chwilami, wędrując po tej części miasta, miało się w istocie wrażenie, że wertuje się w jakimś prospekcie, w nudnych rubrykach komercyjnych ogłoszeń, wśród których zagnieździły się pasywnie podjęte anonse, drażliwe notatki, wątpliwe ilustracje; i wędrowki te były równie jałowe i bez rezultatu, jak eksycytacje fantazji, pędzonej przez szpalty i kolumny pornograficznych druków.

Wchodziło się do jakiegoś krawca, żeby zamówić ubranie – ubranie o taniej elegancji, tak charakterystycznej dla tej dzielnicy. Lokal był wielki i pusty, bardzo wysoki i bezbarwny. Ogromne wielopiętrowe półki wznoszą się jedne nad drugimi w nieokreśloną wysokość tej hali. Kondygnacje pustych półek wyprowadzają wzrok w górę aż pod sufit, który może być niebem – lichym, bezbarwnym, odrapanym niebem tej dzielnicy. Natomiast dalsze magazyny, które widać przez otwarte drzwi, pełne są aż pod sufit pudeł i kartonów, piętrzących się ogromną kartoteką, która rozpada się w górę pod zagmatwanym niebem strychu w kubaturę pustki, w jałowy budulec nicości. Przez wielkie szare okna, kratkowane wielokrotnie jak arkusze papieru kancelaryjnego, nie wchodzi światło, gdyż przestrzeń sklepu już napelniona jest, jak wodą, indyferentną¹ szarą poświatą, która nie rzuca cienia i nie akcentuje niczego. Wnet nawija się jakiś smukły młodzieniec, zadziwiająco usłużny, giętki i nieodporny, ażeby dogodzić naszym życzeniom i zalać nas taną i łatwą wymową subiekta. Ale gdy gadając, rozwija ogromne postawy sukna, przypomina, fałduje i drapuje niekończącą się strugę materiału, przepływającą przez jego ręce, formując z jego fal iluzoryczne surduty i spodnie, cała ta manipulacja wydaje się czymś nieistotnym, pozorem, komedią, ironicznie zaryzoną zastaną na prawdziwy sens sprawy.

Panienci sklepowe, smukłe i czarne, każda z jakąś skazą piękności (charakterystyczną dla tej dzielnicy wybrakowanych artykułów), wchodzi i wychodzą, stają we drzwiach magazynów, sondując oczyma, czy rzecz wiadoma

¹ Indyferentna (z łac.) – obojętna.

(powierzona doświadczonym ręką subiekta) dojrzuje do punktu właściwego. Subiekt przymila się i kryguje i chwilami robi wrażenie transwestyty¹. Chciałoby się go ująć pod miękko zarysowaną brodę lub uszczypnąć w upudrowany, bładzi policzek, gdy z porozumiewawczym półspojrzeniem dyskretnie zwraca uwagę na markę ochronną towaru, markę o przejrzyściej symbolice.

Z wolna sprawa wyboru ubrania schodzi na plan dalszy. Ten miękki do efeminacji² i zepsuty młodziwiec, pełen zrozumienia dla najintymniejszych poruszeń klienta, przesuwa teraz przed jego oczyma osobliwe marki ochronne, całą bibliotekę znaków ochronnych, gabinet kolekcjonerski wyrafinowanego zbieracza. Pokazywało się wówczas, że magazyn konfekcji był tylko fasadą, za którą kryła się antykwarnia, zbiór wysoce dwuznacznych wydawnictw i druków prywatnych. Usłużny subiekt otwiera dalsze składki, wypełnione aż pod sufit książkami, rycinami, fotografiami. Te winiety, te ryciny przechodzą stokratnie najśmielsze nasze marzenia. Takich kulminacji zepsucia, takich wymyślności wyuzdania nie przeczuwalismy nigdy.

Panienci sklepowe przesuwały się coraz częściej pomiędzy szeregiem książek, szare i papierowe jak ryciny, ale pełne pigmentu w zepsutych twarzach, ciemnego pigmentu brunetek, o lśniącej tłustej czarności, która, zaczajona w oczach, z nagle wybiegała z nich zygazakiem lśniącego karakoniego biegu. Ale i w spalonych rumieńcach, w pikantnych stygmatkach pieprzyków, we wstydlivych znamionach ciemnego puszku, zdradzała się rasa zapiekłej, czarnej krwi. Ten barwnik o nazbyt intensywniej mocy, ta mokka gęsta i aromatyczna zdawała się płamić książki, które brały one do oliwkowej dłoni, ich dotknięcia zdawały się je farbować i zostawiać w powietrzu ciemny deszcz piegów, smugę tabaki, jak purchawka o podniecającej, animalnej woni. Tymczasem powszechna rozwiąłość zrzuciła coraz bardziej hamulce pozorów. Subiekt, wyczerpawszy swą natarczywą aktywność, przechodził powoli do kobiecej bierności. Leży teraz na jednej z wielu kanap, porostawianych wśród rejonów książek, w jedwabnej piżamie, odstaniającej kobiecie dekolt. Panienci demonstrują, jedna przed drugą, figury i pozycje rycin okładkowych, inne zasypiają już na prowizorycznych posłaniach. Nacisk na klienta rozluźniał się. Wypuszczano go z kregu natarczywego zainteresowania, pozostawiano sobie samemu. Subiektki, zajęte rozmową, nie zwracały nań więcej uwagi. Odwrócone do niego tyłem lub bokiem, przystawały w aroganckim kontrapoście³, przestępowały z nogi na nogę, grając kokietyrny obuwem, prze-

¹ Transwestyta (łac.) – osoba identyfikująca się psychicznie z płcią przeciwną, przyjmująca jej sposób bycia, noszenia ubiorów.

² Efemina (ft.) – zniwieściłość.

³ Kontrapost (z wł.) – kompozycja rzeźby, której ciężar spoczywa na jednej nodze, zrównoważony przegięciem tułowia w drugą stronę.

puszczały z góry na dół po smukłym ciecie węzową grę członków, atakując nią spoza swej niedbatej nieodpowiedzialności podnieconego widza, którego ignorowały. Tak cofano się, wsuwano w głąb z wyrachowaniem, otwierając wolną przestrzeń dla aktywności gościa. Skorzystajmy z tego momentu nieuwagi, ażeby wymknąć się nieprzewidzianym konsekwencjom tej niewinnej wizyty i wydostać się na ulicę.

Nikt nas nie zatrzymuje. Przez korytarze książek, pomiędzy długimi regałami czasopism i druków wydostajemy się ze sklepu i oto jesteśmy w tym miejscu ulicy Krokodylej, gdzie z wyniesionego jej punktu widać niemal całą długość tego szerokiego traktu aż do dalekich, niewykończonych zabudowań dworca kolejowego. Jest to szary dzień, jak zawsze w tej okolicy, i cała scena ria wydaje się chwilami fotografią z ilustrowanej gazety, tak szare, tak płaskie są domy, ludzie i pojazdy. Ta rzeczywistość jest cienka jak papier i wszystkimi szparami zdradza swą imitatywność. Chwilami ma się wrażenie, że tylko na małym skrawku przed nami układa się wszystko przykładowo w ten pointowany obraz bulwaru wielkomiejskiego, gdy tymczasem już na bokach rozciąga się i rozprzega ta zaimprovizowana maskarada i, niezdołna wytrwać w swej roli, rozpada się za nami w gips i pakuły, w rupieciearnię jakiegoś ogromnego, pustego teatru. Napięcie poży, sztuczna powaga maski, ironiczny patos drży na tym naskórku. Ale dalecy jesteśmy od chęci demaskowania widowiska. Wbrew lepszemu wiedzimy czujemy się wciągnięci w tandetny czar dzielnicy. Zresztą nie brak w obrazie miasta i pewnych cech autoparodii. Rzędy małych parterowych domków podmiejskich zmieniają się z wielopiętrowymi kamienicami, które, zbudowane jak z kartonu, są konglomeratem¹ szyl-dów, ślepych okien biurowych, szkliszczarych wystaw, reklam i numerów. Pod domami płynie rzeka tłumu. Ulica jest szeroka jak bulwar wielkomiejski, ale jezdnią, jak place wiejskie, zrobiona jest z ubitej gliny, pełna wybojów, kałuż i trawy. Ruch uliczny dzielnicy służy do porównań w tym mieście, mieszkańcy mówią o nim z dumą i z porozumiewawczym błyskiem w oku. Szary, bezosobisty ten tłum jest nader przejęty swą rolą i pełen gorliwości w demonstrowaniu wielkomiejskiego pozoru. Wszelako, mimo zaaferowania i interesowności, ma się wrażenie błędnej, monotonnej, bezcelowej wędrówki, jakiegoś sennego korowodu marionetek. Atmosfera dziwnej błahości przenika tę całą scenę. Tłum płynie monotonna i, rzecz dziwna, widzi się go zawsze jakby niewyraźnie, figury przepływają w spletanym, łagodnym zgiełku, nie dochodząc do zupełnej wyrazistości. Czasem tylko wyławiamy z tego gwaru wielu głów jakies ciemne, żywe spojrzenie, jakiś czarny melonik nasunięty głęboko na głowę, jakies pół twarzy rozdarłe uśmiechem, z ustami, które

¹ Konglomerat (z łac.) – całość będąca połączeniem różnych części i przedmiotów; zbiór.

właśnie coś powiedziały, jakaś nogę wysuniętą w kroku i tak już zastygłą na zawsze.

Osobliwością dzielnicy są dorożki bez woźniców, biegnące samopas po ulicach. Nie jakoby nie było tu dorożkarzy, ale wmieszani w tłum i zajęci tysiącem spraw, nie troszczą się o swe dorożki. W tej dzielnicy pozoru i pustego gestu nie przywiązuje się zbytniej wagi do ścisłego celu jazdy i pasażerowie powierzą się tym błędnym pojazdom z lekkomyślnością, która cechuje tu wszystko. Nieraz można ich widzieć na niebezpiecznych zakrętach, wychylonych daleko z połamanej budy, jak z lejcamy w dłoniach przeprowadzają z natężeniem trudny manewr wymijania.

Mamy w tej dzielnicy także tramwaje. Ambicja rajców miejskich święci tu najwyższy swój triumf. Ale pożałowania godny jest widok tych wozów, zrobionych z *papier-mâché*, o ścianach powyginanych i zmiętych od wieloletniego użytku. Często brak im zupełnie przedniej ściany, tak iż widzieć można w przejeździe pasażerów, siedzących sztywnie i zachowujących się z wielką godnością. Tramwaje te popychane są przez tragarzy miejskich. Najdziwniejszą atoli rzeczą jest komunikacja kolejowa na ulicy Krokodylej.

Czasami, w nieregularnych porach dnia, gdzieś ku końcowi tygodnia można zauważyć tłum ludzi, czekający na zakręcie ulicy na pociąg. Nie jest się nigdy pewnym, czy przyjedzie i gdzie stanie, i zdarza się często, że ludzie ustawiają się w dwóch różnych punktach, nie mogąc uzgodnić swych poglądów na miejsce przystanku. Czekają długo i stoją czarnym milczącym tłumem wzduż ledwo zarysowanych śladów toru, z twarzami w profilu, jak szeregi bładych masek z papieru, wyciętych w fantastyczną linię zapatrzenia. I wreszcie niespodzianie zajeżdża, już wjechał z bocznej uliczki, skąd go nie oczekiwano, niski jak wał, miniaturowy, z małą, sapiącą, krępą lokomotywą. Wjechał w ten czarny szpaler, i ulica staje się ciemna od tego ciągu wozów, siejących pył węglowy. Ciemne sapanie parowozu i powiew dziwnej powagi, pełnej smutku, tłumiony pośpiech i zdenerwowanie zamieniają ulicę na chwilę w hałą dworca kolejowego w szybko zapadającym zmierzchu zimowym.

Plagą naszego miasta jest ażitość¹ biletów kolejowych i przekupstwo.

W ostatniej chwili, gdy pociąg już stoi na stacji, toczą się w nerwowym pośpiechu pertraktacje z przekupnymi urzędnikami linii żelaznej. Zanim te negocjacje się kończą, pociąg rusza, odprowadzany przez wolno sunący, rozczarowany tłum, który odprowadza go daleko, ażeby się wreszcie rozproszyć.

Ulica, zaciśniona na chwilę do tego zaimprovizowanego dworca, pełnego zmierzchu i tchnienia dalekich dróg – rozwidnia się znów, rozszerza i przepuszcza znów swym korytem beztroski monotony tłum spacerowiczów,

¹ Ażitoż (z fr.) – tu: zawyżona cena.